

MOJE SPOJRZENIE NA CHINY

Waleria Mikołajczyk

Relacja Walerii Mikołajczyk z podróży do Chin, której głównym elementem było uczestnictwo w II Pekińskim Kongresie Zdrowia, Urody i Długowieczności - Pekin 2008

Gdy jechałam na wyprawę do Chin, przepełniała mnie głównie ciekawość. Tyle się o nich słyszy, tyle się czyta. Czym się one okażą przy bliższym zetknięciu? Czym okaże się medycyna chińska i

Medycyny Chińskiej miały ze sobą wiele wspólnego. Człowiek, jak podkreślali wszyscy, jest mikrokosmosem w makrokosmosie. Więc warunkiem zachowania zdrowia jest życie zgodne z naturą, od której w każdej chwili otrzymujemy energię qi. Oznacza to m.in. życie z umiarem, który należy zachować w każdej dziedzinie: w pracy, odpoczynku, rozrywce, jedzeniu, seksie. Wszyscy referenci podkreślali, że zachowanie zdrowia



TEN MNICH TAOISTYCZNY TO BYŁA JEDNA Z NAJBARDZIEJ INTERESUJĄCYCH POSTACI KONGRESU. JEGO REFERAT BYŁ JEDNYM Z NAJCIĘKAWSZYCH. NIESTETY, TŁUMACZE NIE BYLI W STANIE PRZETŁUMACZYĆ GO NA TYŁE PRECYZYJNIE, BYŚMY GO DO KOŃCA ZROZUMIELI. BYŁ OTWARTY NA KONTAKTY. NAWET TAKIE MIGAWKOWE JAK ZROBIENIE WSPÓLNEGO ZDJĘCIA.

różne style qi gong, gdy różni mistrzowie będą nam o nich opowiadać na DRUGIM KONGRESIE ZDROWIA I DŁUGOWIECZNOŚCI, który był pierwszym punktem programu naszego pobytu w Chinach.

Okazało się, że wszystkie wystąpienia chińskich mistrzów leczących qi gongiem i lekarzy Tradycyjnej

fizycznego nie jest możliwe bez zachowania równowagi umysłu i życzliwości wobec całego świata. Jak powiedział mistrz Ou Wen Wei twórca stylu Pan Gu Shendong, „Lecznicza zasada Pan Gu Shendong opiera się z jednej strony na znajomości ludzkiej struktury fizjologicznej, z drugiej strony jej podstawą jest sposób postępowania człowieka, który

sprowadza się do tego, by być uprzejmym, łagodnym, szczerym i przyjaznym. Co możemy zrobić, by poprawić fizjologiczne funkcje naszego organizmu? Niezbędny nam jest do tego harmonijny umysł i dobre intencje. Tylko kiedy postępujemy w ten sposób, qi przepływa swobodnie, a nasze ciała mogą być zdrowe. Kiedy kłócimy się z kimś, konsumujemy naszą energię. Życzliwość, o której mówię zawiera dwa podstawowe składniki: nauczyć się szanować innych i nauczyć się dawać innym i przyczyniać się do ich pomyślności. Kiedy przy tym będziecie praktykować Pan Gu Shendong, śpiewać pieśni, które skomponowałem, słuchać, jak ja je śpiewam, będziecie cały czas wchłaniać qi i poprawiać zdrowie.” Han Yuxia – szef uzdrowiska Lu Yuan położonego w górach Laoshan powiedział: „Założyliśmy uzdrowisko, gdzie proponujemy pacjentom odpoczynek w ekologicznych warunkach uzupełniony zabiegami Tradycyjnej Medycyny Chińskiej takimi jak akupresura, muzyka, dietetyka i uspokojenie umysłu. Na naszej drodze do zdrowia psychoterapia jest kluczem do rehabilitacji. Dużą wagę przywiązujemy do tego, by nauczyć ludzi jak kontrolować ekscytację i siedem emocji: radość, gniew, zmartwienie, niepokój, smutek, strach i lęk,

jak wyznawać prawidłowy pogląd na życie: nie szukać osobistej sławy ani korzyści, pamiętać o ośmiu zdaniach w pielęgnacji zdrowia: szeroki umysł, dobre serce, piękny umysł, szczęście, pokój, harmonia, uczciwość, honor. Staramy się, by nasi pacjenci wprowadzili do swoich umysłów program zdrowia i szczęścia, którego zasadnicze elementy to: tolerancja, która jest regulatorem, życzliwość, która jest pożywieniem, obojętność na sławę i bogactwo, która poprawia odporność, a wreszcie optymizm, który prowadzi do długiego życia.”

Zdawałoby się, że przy wystąpieniach wielkich autorytetów z dziedziny Tradycyjnej Medycyny Chińskiej i qi gong my – Polacy niewiele będziemy mieli do powiedzenia na konferencji. Stało się jednak inaczej za sprawą dwóch osób: Kamila Ratajczaka i Czesława Gruszeńskiego. Kamil potrafił znaleźć niezwykle oryginalny temat referatu, zapewne bardzo ciekawy dla Chińczyków: „Qi gong na Zachodzie”. Spotkał się on z dużym zainteresowaniem na konferencji. Wystąpienie Czesława Gruszeńskiego – wiceprezydenta Kielc, który wyraził gotowość zorganizowania kolejnego Kongresu Zdrowia i Długowieczności w Polsce – w Kielcach właśnie, także spotkało się z dużym aplauzem. Na tyle dużym,



PROF. WAN SU JIAN, PROF. LIU ZHONGCHUN I CZESŁAW GRUSZEWSKI PODCZAS SPOTKANIA W OŚRODKU BA GUA QI GONG

że zarówno sam Czesław jak i prof. Grażyna Nowak Starz – dziekan Wydziału Nauki o Zdrowiu Świętokrzyskiego Uniwersytetu im. J. Kochanowskiego, przyszła współorganizatorka Kongresu, który odbędzie się w 2010r., zostali zaliczeni do grona doradców Międzynarodowego Komitetu Organizacyjnego.

Także pokaz Lecącego Żurawia w wykonaniu polskiej grupy spotkał się z ciepłym przyjęciem, co tym bardziej cieszyło, że widownia mogła porównać nas z grupą rosyjską, której występ pełen był poezji, z bardzo dynamiczną grupą amerykańską, czy z pokazem mistrza z Makao, którego zręczność wydawała się wprost nadnaturalna.

Nasz kontakt z qi gongiem nie skończył się po zamknięciu kongresu. Dwukrotnie jeszcze zetknęliśmy się – za sprawą naszego mistrza Liu Zhong Chuna – z fascynującymi jego przedstawicielami. W pekińskim parku Yuyuantan, gdzie wiele grup ćwiczy różne style qi gong, spotkaliśmy się z grupą uprawiającą chodzący styl stworzony specjalnie dla uzdrawiania ludzi dotkniętych rakiem. Grupę prowadzi mistrzyni U Shezin, która 18 lat temu chorowała na raka piersi, wyleczyła się przy pomocy tego stylu qi gong i teraz

pomaga innym zwalczyć chorobę. Grupa, którą obecnie prowadzi, to grupa początkująca. Wszyscy jej uczestnicy to ludzie chorzy na raka płuc, wątroby, jelit itd. Uprawianie qi gong łączy z leczeniem medycznym bądź metodami Tradycyjnej Medycyny Chińskiej bądź medycyny zachodniej, bądź jednej i drugiej. Niektórzy z nich przechodzą właśnie leczenie szpitalne i na ćwiczenia biorą przepustkę ze szpitala. Przyprowadzają ich na ogół dzieci lub wnuki. Ćwiczą z mistrzynią dwa razy w tygodniu, słuchają też jej krótkich wykładów, po czym w domu lub w szpitalu ćwiczą po 4 – 5 godzin dziennie. W poprzednich grupach prowadzonych przez mistrzynię było 80% wyleczeń.

Następnie pojechaliśmy do ośrodka taoistycznego Ba Gua qi gong położonego pięknie w górach Cui Wei na zachód od Pekinu, a stworzonego przez prof. Wan Su Jiana. Niezwykły jest personel tego ośrodka szpitalnego, ponieważ niezwykle jest jego kształcenie. Prof. Wan Su Jian wyszukuje dzieci specjalnie uzdolnione do pracy z energią qi, najczęściej dzieci z najbiedniejszych regionów Chin, sieroty. Od 6 – 8 roku życia dzieci te, które znajdują w ośrodku swój dom, uczą się gry na instrumentach, malowania, kaligrafii, sztuk walki, (ponieważ te



MISTRZYNI U SHEZIN ZE SWOJĄ GRUPĄ CHORYCH NA RAKA ĆWICZY CHODZĄCY STYL

dziedziny to także praca z energią qi wzmacniająca potencjał energetyczny adepta), masażu, opieki nad chorymi, gotowania i – oczywiście – ćwiczeń qi gong. Uczą się przy tym tolerancji i współczucia. Jak dalece prof. Wan Su Jian ceni sobie tolerancję, świadczy fakt, że w jego taoistycznym ośrodku jest miejsce zarówno dla kaplicy taoistycznej jak i buddyjskiej. Jego uczniowie oczywiście także wyrastają na ludzi tolerancyjnych. Po kilkunastu latach wyrastają z nich lekarze, pielęgniarki bądź mistrzowie qi gong. Pacjenci w ośrodku prof. Wan Su Jiana poddawani są kompleksowej, opartej na działaniu energii qi terapii wykonywanej przez wielu terapeutów. Zjeżdżają się tu ze wszystkich stron świata osoby dotknięte najrozmaitszymi chorobami powszechnie uznawanymi za nieuleczalne. Wyniki osiągane w ich leczeniu budzą szacunek. Najbardziej zdumiewające wydają się być wyniki terapii chorych po wylewach krwi do mózgu, sparaliżowanych, mających kłopoty z mową, z pamięcią. Po kilkumiesięcznej terapii ludzie ci odzyskują nie tylko zdolność poruszania się, lecz także dar normalnej mowy, a ich umysł odzyskuje taką sprawność, że mogą powrócić do pracy naukowej, jeśli wcześniej ją wykonywali. Podobnie do pełnej sprawności wracają po terapii osoby sparaliżowane wskutek ciężkich

wypadków samochodowych.

A co poza qi gongiem widziały nasze oczy? Chiny, kiedy się je przemierza w ekspresowym tempie, są tak wielowymiarowe, wielograniaste, że po prostu od nadmiaru wrażeń kręci się w głowie: historia, religie, architektura, sztuka ogrodnicza, sztuka kulinarna, handel itd., itd. Zapamiętuje się tylko to, co człowieka najbardziej uderza.

PEKIN O SZÓSTEJ RANO

Nieopodal hotelu, w którym mieszkaliśmy w Pekinie, był publiczny park, w którym codziennie o szóstej rano ćwiczyliśmy qi gong. Gdy przychodziliśmy tam, już tętnił życiem. Na wydzielonym boisku młodzi ludzie grali w koszykówkę, a na rozstawionych obok stołach – w ping-ponga. Wśród zieleni 2-3 osobowe grupy ćwiczyły różne style tai chi i qi gong. Często ktoś z przechodzących Chińczyków przystawał widząc, że ćwiczymy Lecącego Żurawia i przyłączał się do nas, zwłaszcza gdy byliśmy w trakcie medytacji stojącej. Najbardziej fascynujący byli starsi panowie, którzy przychodzili do parku niosąc jakieś spore pojemniki osłonięte pokrowcami z materiału. Niektórzy mieli jeden taki pojemnik. Niektórzy na długim kijku nieśli



NOWOCZESNY PARK YUYUANTAN. W TYM PARKU LICZNE GRUPY ĆWICZĄ RÓŻNE STYLE TAI CHI I QI GONG.

ich kilka. Gdy zdejmowali pokrowce, okazywało się, że są to spore klatki ze śpiewającymi ptakami. Panowie wieszali klatki na drzewach obok miejsca naszych ćwiczeń, a sami stali nieopodal tocząc swoją codzienną, spokojną rozmowę. Zawieszone na drzewach ptaki budziły się i pięknie śpiewały. Ptasi koncert nadawał szczególnego uroku naszym ćwiczeniom qi gong. Kończył się mniej więcej wtedy, kiedy i my kończyliśmy Żurawia. Starsi panowie zdejmowali klatki z drzew, przykrywali je pokrowcami i spokojnym krokiem odchodzili do domu. Poranny spacer ptaków był skończony.

Nasz również. My musieliśmy jednak dokonać nie lada wyczynu, aby go zakończyć – aby przedostać się z parku do hotelu, trzeba było przejść na drugą stronę bardzo ruchliwej już o tej porze szerokiej ulicy. Zasady chińskiego ruchu ulicznego są dla nas zgoła niepojęte. Nam się wydaje, że gdy mamy zielone światło, możemy spokojnie przejść przez jezdnię. Nic podobnego! Nie wiadomo skąd na przejściu nagle pojawia się rower albo skuter, albo trójkołowy, rowerowy kryty pojazd, którym młody człowiek wiezie babcię w szacownym wieku. Na najruchliwszych ulicach miasta rowery, motocykle, skutery wymijają wielkie autobusy niczym małe rybki wieloryba i wjeżdżają im wprost przed maskę.

Jeśli znajdujesz się na miejscu przeznaczonym dla pieszych, to nie znaczy bynajmniej, że za chwilę bez uprzedzenia nie wjedzie tam jakiś samochód. Oczywiście musisz mieć dookoła głowy. Wydawałoby się, że co chwilę musi się wydarzyć jakiś wypadek. Nic podobnego. Chińczycy w jakiś przedziwny sposób orientują się w tym chaosie. To prawdziwi mistrzowie kierownicy, o czym mogliśmy się przekonać obserwując kierowców naszych autobusów turystycznych, którzy bez wypadku potrafili nas dowieźć najbardziej zatłoczone miejsca. Do zdarzających się od czasu do czasu kolizji Chińczycy podchodzą ze stoickim spokojem. Kierowcy obu pojazdów, które się zderzyły, zatrzymują się na chwilę, by zobaczyć, co się stało, bez złości wymieniają uwagi i rozjeżdżają się każdy w swoją stronę. Siły porządkowe nie przejawiają żadnego zainteresowania.

SZTUKA OGRODNICZA

Chińczycy są niezwykle utalentowanymi i zamiłowanymi ogrodnikami. Widać to na każdym kroku. Autostrady obsadzone są pięknie kwitnącymi krzewami, pośrodku autostrady, oddzielając od siebie pasy ruchu, także rosną krzewy bądź też rośliny



. Z KWIATÓW CHIŃCZYCY POTRAFIĄ WYCZAROWAĆ DOSŁOWNIE WSZYSTKO

ustawione w wielkich donicach. Paskudne betonowe ściany jakichś nowoczesnych konstrukcji komunikacyjnych starannie obsadzone są dzikim winem. Na najruchliwszych ulicach miast przyciągają oko najprzeróżniejsze kompozycje roślinne. Czasami człowiek podziwia drzewo, którego liście demonstrują różne odcienie zieleni, a spomiędzy nich wydobywają się tu i ówdzie purpurowe kwiaty. Po bliższym przyjrzeniu się okazuje się, że jest to żelazny stojak z kolistymi przymocowanymi podstawkami pod doniczki. Ustawione precyzyjnie na tych podstawkach doniczki z roślinami o różnych odcieniach zieloności tworzą to urokliwe drzewo. Chińczycy potrafią wyczarować z roślin każdą figurę: smoka, słońca, człowieka wykonującego ćwiczenia. I co najbardziej zdumiewające, wszystkie, wszystkie te rośliny, wszystkie kompozycje są nie tylko posadzone, nie tylko pomysłowo wykonane, lecz także bardzo starannie zadbane, zroszone. Widać, że ktoś codziennie z miłością się o nie troszczy.

Chińskie parki to zupełnie coś innego niż nasze. Dla Chińczyków park tworzą nie tylko rośliny, lecz także skały, budowle i woda, a czasem i zwierzęta takie jak kaczki mandarynki czy złote ryby (nie rybki), które stadnie przypływają do brzegu, gdy tylko zoczą zbliżającego się człowieka. Najdziwniejszy w tych parkach jest klimat. Niezależnie od tego, czy jesteśmy w nowoczesnym pekińskim parku Yuyuantan, czy w Pałacu Letnim (to w gruncie rzeczy także jest park) cesarzy z dynastii mandżurskiej, którego założenie architektoniczne pochodzi z XVIII w., czy w Ogrodzie Skromnego Zarządcy (cesarskiego cenzora, który po zdymisjonowaniu założył ogród i oddał się zarządzaniu nim) w Suzhou ze średniowiecznych czasów dynastii Ming, mamy po prostu ochotę usiąść i pograć się w ciszy (tak, panuje tu rozkoszna cisza, gdyż po zbiornikach wodnych parków mogą poruszać się tylko łodzie wiosłowe lub łodzie z silnikami elektrycznymi) i błogostanie. Chińczycy korzystają z tych parków w niespotykany u nas sposób. W najbardziej malowniczych zakątkach spotkać można uczniów szkół artystycznych, którzy ćwiczą się tu w malarstwie i rysunku. Drewniane, kryte daszkiem galerie parków wypełnione są Chińczykami płci obojga w średnim i starszym wieku, którzy muzykują tu tworząc coś w rodzaju zespołów. Jedna osoba gra na instrumencie przypominającym niewielkie sześciennie pudełko, z którego wychodzi laseczka z jedną struną, a jedna lub dwie osoby śpiewają. Słuchacze oklaskują ich gorąco częstując się jednocześnie napojami i słodyczami. Wygląda na to, że zespoły te tworzą się ad hoc i

równie szybko się rozpadają, by powstać nieopodal w nowym składzie.

ARCHITEKTURA

Tradycyjna chińska architektura świadczy o wielkim, zupełnie dla nas niepojętym zmyśle artystycznym Chińczyków jak i o wielkim zamiłowaniu władców do budowli, które swymi rozmiarami podkreślały ich wielkość. Zakazane Miasto – siedziba cesarskich Synów Nieba przez długich 500 lat (od XV do XX w.) – zwane zakazane dlatego, że zbliżanie się do niego było zwykłym śmiertelnikom surowo zabronione, poraża człowieka ogromem przestrzeni, na których rozmieszczone są budowle i ich imponującymi rozmiarami, a jednocześnie zachwyca bogactwem złoto – czerwono – niebieskich malowanych zdobień, które pokrywają każdy gzyms, każdą belkę, zachwyca finezją malutkich rzeźb umieszczonych na zagiętych ku górze rogach dachów. Podobnie Świątynia Nieba wybudowana w XV w. specjalnie po to, by raz do roku – w najkrótszym dniu roku Syn Nieba w asyście całego dworu mógł zanieść modły o urodzaj i zasięgnąć rad bogów w sprawach państwa – jednocześnie poraża swoją wielkością i zachwyca



MONUMENTALNA ŚWIĄTYNIA NIEBA

artyzmem oraz harmonią.

O tym, jak małym, nic nie znaczącym stworzeniem w stosunku do uosobienia władzy – cesarza był przeciętny Chińczyk, świadczą domki w tradycyjnych miejskich osiedlach – chutongach. Małe, parterowe, z podwóreczkami wielkości chusteczki do nosa. Ich dachy, aczkolwiek tradycyjnie po chińsku zawinięte do góry, nie są jednak złożone jak w pałacach, lecz zupełnie szare, tak zresztą jak i same domki. Te tradycyjne chutongi w szybkim tempie znikają z powierzchni dużych miast chińskich. Wielka ich ilość znikła z Pekinu w trakcie przygotowań do ostatniej olimpiady. Chińczycy, którzy uważają je za świadectwo swego minionego ubóstwa, nie są skłonni modernizować ich, by wprowadzając zdobycze cywilizacji zachować jednocześnie tradycyjny sposób życia, lecz po prostu je burzą, na ich miejscu wznosząc wysokościowce na wzór zachodni. O urodzie tych ostatnich wolałabym się nie wypowiadać.

RELIGIA

Dziwne może się wydawać, że w kraju, gdzie 90% obywateli deklaruje swoją bezwyznaniowość,

świątynie różnych wyznań są pełne. Te najbardziej reprezentacyjne zresztą są czymś pomiędzy obiektem turystycznym a świątynią. Zarówno za wstęp do pekińskiej świątyni buddyzmu tybetańskiego jak i do taoistycznej świątyni Białej Chmury trzeba zapłacić, by je obejrzeć. Świątynia buddyzmu tybetańskiego jest szczególnie okazała. Zarówno bowiem cesarze chińskich z dynastii mongolskiej jak i z dynastii mandżurskiej łączyła z buddyzmem tybetańskim – lamaizmem szczególnie więź – dalajlamowie i tybetańscy rinpoczwowie byli duchowymi nauczycielami cesarzy, którzy z tego powodu otaczali ich szczególną czcią. Cesarz Yong Zheng z dynastii mandżurskiej na początku XVIII w. przeznaczył na klasztor lamaistyczny swoją siedzibę, którą zajmował jeszcze jako książę Yi Zhen. Stoi tam m.in. tron dla dalajlamów, który służył im, gdy przyjeżdżali do Pekinu, by wygłaszać nauki dla swoich cesarskich uczniów. Dalajlamowie zresztą także odwiedzali się swoim najwyższej rangi podopiecznym. W jednym z pawilonów stoi olbrzymi, 18 – metrowej wysokości, wyciosany z jednego pnia drzewa sandałowego, połączany posąg Buddy Maitrei (Buddy Przyszłości)- dar siódmego dalajlamy dla



BUDDYJSCY MNISI WYCHODZĄ ZE ŚWIĄTYNI PO WSPÓLNYCH MODŁACH

cesarza Qianlonga. Taoistyczna Świątynia Białej Chmury nie jest tak imponująca jak lamaistyczna i w jej zdobieniach mniej jest czerwieni i złota, a więcej błękitu. Nic jednak przez to nie traci na urodzie. Obydwie świątynie robią zaskakujące wrażenie. Równie dużo tu turystów, którzy po prostu oglądają i wchodzi do wnętrza nie zdejmując butów, jak i ludzi, którzy autentycznie przyszli się tu modlić, a tłum turystów nie przeszkadza im bić pokłonów przed ołtarzami. Jednocześnie widać błyski fleszy aparatów fotograficznych i dymy kadzideł gęstym obłokiem unoszące się z kadzielnic, słysząc konwersacje we wszystkich możliwych językach europejskich i zbiorowe śpiewy mnichów.

Za to kościół katolicki, który stoi przy jednej z głównych ulic handlowych Pekinu, nie ma nic wspólnego z instytucją turystyczną. Jest po prostu świątynią. Miałam okazję zapoznać się z nim, gdy na przylegającym do niego placu czekałam na koleżanki, które bardziej ode mnie pasjonowały się zakupami. Najpierw obejrzałam go od zewnątrz. Zbudowany jest w stylu europejskim z lat trzydziestych XX wieku. Placyk przed kościołem ewidentnie był miejscem, które tutejsze nastolatki upodobały sobie do jazdy na deskorolkach. Uwijało się ich tam całe mnóstwo. Z kościoła wyszły dwie pary, które najwyraźniej dopiero co wzięły ślub: panny młode w długich białych sukniach, panowie w białych garniturach. Młodzi szykowali się do zdjęcia ślubnego. Dookoła każdej panny młodej uwijał się młodociany asystent fotografa co i rusz poprawiając jakiś szczegół ułożenia sukni, welonu czy bukietu, a dookoła pomykały się chłopaczki na deskorolkach. I jakoś nie dochodziło między nimi ani do kolizji, ani do gniewnej wymiany zdań. Wydawali się zupełnie sobie nawzajem nie przeszkadzać. To, że obejrzałam kościół od wewnątrz, zawdzięczam komicznemu przypadkowi. Wśród Chińczyków siedzących na ławeczce pod kościołem byłam jedyną osobą z europejską twarzą, która zwróciła uwagę pewnego młodego człowieka. Zachęcił mnie, bym obejrzała wystawę prac studentów Akademii Sztuk Pięknych, która odbywała się tuż obok. Prace warte były obejrzenia. Niebawem jednak okazało się, że młodemu człowiekowi najbardziej zależy nie tyle na tym, bym je obejrzała, lecz bym którąś z nich kupiła. Nie byłam zainteresowana. Młody człowiek zaś zachęcał mnie tak natarczywie, że po prostu

wybiegłam z sali wystawowej nie mówiąc do widzenia. On jednak wybiegł za mną na ulicę i nie miał zamiaru zostawić mnie w spokoju. Dostrzegłam szeroko otwarte boczne drzwi kościoła i po prostu uciekłam tam. Akurat trwała msza. Kościół był pełen wiernych. Paliły się świece, organy grały trochę na chińską nutę. Wysłuchałam chińskiego kazania i mniej więcej po pół godzinie wyszłam z kościoła. Młodego człowieka już na ulicy nie było.

HANDEL

Przed wszystkim trzeba się przyzwyczaić do tego, że jeśli Chińczyk chce ci coś sprzedać, to bardzo chce. Nie możesz po prostu podejść, obejrzeć sobie czegoś, co jest wystawione na sprzedaż i albo kupić, albo nie. Jeśli tylko okażesz cię zainteresowania, jesteś zgubiony. Sprzedawca natychmiast zacznie zachwalać towar, na który rzuciłeś okiem, wymieni wszystkie jego zalety, opiszę całą jego wyjątkowość. I to niezależnie od tego, czy rzecz dzieje się w dużym domu towarowym, czy też mamy do czynienia z ulicznym sprzedawcą, który cały swój towar ma w małej walizeczce. Wystarczyło mi w sklepie spojrzeć na chińską bluzeczkę, a już sprzedawczyni zdejmowała ją z wieszaka, już mi ją prawie przymierzała. Na próżno, by się od niej odczepić mówiłam, że jest za duża. Natychmiast znalazła mniejszą. Na próżno mówiłam, że kolor mi się nie podoba. Natychmiast znalazła inny. Chcąc się od niej uwolnić, szybko przesłałam kawałek dalej, by przypatrzeć się innej bluzce, ale ona już znowu była przy mnie i cała zabawa zaczęła się od początku. W eleganckim domu handlowym, którego specjalnością jest wyrób i sprzedaż drogich precjozów z pereł spotkało mnie to samo. Wystarczyło, że zatrzymałam się przy jakimś naszyjniku, by spojrzeć, jak jest zrobiony, a sprzedawczyni już była przy mnie. Uliczni handlarze są jeszcze bardziej stanowczy. Podtykają ci pod nos swoją walizeczkę pełną wątpliwej jakości zegarków tak, że nie możesz ich wyminąć. Zachwalają te czasomierze jako Roleksy, a że w chińskim języku nie ma dźwięku r., ich okrzyki brzmią śmiesznie: „loleks, loleks!” Jeśli już człowiek jest naprawdę zdecydowany coś kupić, musi się zawzięcie targować. Jeśli np. sprzedawca za damską torebkę zażąda 300 juanów, można być pewnym, że ostatecznie sprzeda ją za 150, a może nawet za 120. Jeden z naszych kolegów zrobił sobie z tego świetną zabawę. Dla rozrywki kupował „loleksy” z walizek, by przekonać się, ile zdoła utargować. Żeby się targować, trzeba znać język angielski. Przynajmniej trochę. W żadnym innym języku ze sprzedawcą się



RADOŚĆ DR PIOTRA POKRYWKI Z POWODU KUPNA JEDWABNEJ CHIŃSKIEJ MARYNARKI

nie porozumiesz. Zresztą angielski w Chinach wszechwładnie panuje wszędzie. Sprzedawcy, nawet ci uliczni, mówią po angielsku, przewodnicy – po angielsku, kelnerzy – po angielsku, obsługa hotelowa – po angielsku. Ba, dałam kiedyś żebrakowi jednego juana. "Sje, sje" – podziękował mi po chińsku, po czym podniósł głowę i ujrawszy moją europejską twarz powiedział „thank you”. W rozmaitych miejscach można ostatecznie dogadać się na migi, jednak, żeby się targować, trzeba absolutnie znać w tym języku przynajmniej kilkadziesiąt słów. Gorzej, jeśli ktoś targować się nie lubi.

Są co prawda miejsca tak eleganckie, że targować się tam nie tylko nie wypada, ale i nie ma po co. Ceny są tam stałe. Np. w czołowych zakładach jedwabniczych Suzhou – miasta słynnego właśnie z jedwabiu, a także z kanałów nawadniających tamtejsze cudowne ogrody i z pięknych kobiet wybieranych ongi do cesarskiego haremu, miasta, gdzie tradycja produkcji jedwabiu sięga 600r. n. e., można dostać dosłownie wszystko z tego materiału: kołdry i poduszki wypchane tym surowcem, jedwabne poszwy i poszewki, bluzki, sukienki, szale, krawaty i apaszki. Jeżeli wartość twoich zakupów przekroczy 50 dolarów, przy kasie dostaniesz sporą

zniżkę. Jednakże targować się nie możesz. Podobnie w domu herbaty na dalekim przedmieściu Hangzhou – stolicy chińskiej herbaty, gdzie wytwarza się m.in. najlepszy jej gatunek zwany „Studnią Smoka”, a także kilkanaście innych gatunków tego specjału, można je wszystkie zde gustować, fachowo serwowane przez uroczą miejscową hostesę, która udzieli wszelkich możliwych informacji, poda przepis na herbatę na nadciśnienie i na herbacianą maseczkę piękności, zachęci przekonująco do zakupu, jednakże pod żadnym pozorem targować się nie będzie.

SZTUKA KULINARNA

Potrawy chińskie wzbudzają w Europejczyku taką ciekawość, że nie może się opanować. Zwłaszcza że sposób ich serwowania zachęca do folgowania sobie. Serwuje się je na dwojaki sposób. Albo jest szwedzki stół, albo też biesiadnicy siedzą przy masywnym, okrągłym, drewnianym stole, pośrodku którego znajduje się obrotowa szklana tafla. Na tej tafli kelnerzy ustawiają półmiski z potrawami. Kto chce nałożyć sobie na talerz potrawę z danego półmiska, kręci szklaną taflą tak długo aż pożądaną półmisek

znajdzie się na wprost niego. Niezależnie od sposobu serwowania potraw jest wiele. Jeden z kolegów zadał sobie trud policzenia ile też potraw stało na szwedzkim stole. Okazało się, że było ich ponad 50. Podchodząc do szczytu takiego długiego stołu z pustym talerzem człowiek zaczyna nakładać sobie z każdego półmiska po odrobinie – tylko na skosztowanie. Tu są wielkie liście jakiejś gotowanej jarzyny, tam krewetki, gdzie indziej małe pierożki, jeszcze gdzie indziej jakieś mięso z jarzynami, jakieś nieznane owoce, rozmaite ciasteczka. Wszystkiego chciałoby się spróbować. W ten sposób zanim człowiek dojdzie do końca stołu, ma już kopiasty talerz wszelakich smakołyków. Przy obrotowym stole wygląda to trochę inaczej. Kiedy na szklanej taflī pojawiają się pierwsze półmiski, tafla obraca się szybko: każdy z zaciekawionych i głodnych biesiadników jak najprędzej chciałby nałożyć sobie na talerz. W miarę jak półmisków przybywa i jest ich tyle, że kelnerzy muszą ustawiać je jedno na drugim, nasyćci już biesiadnicy obracają taflę coraz wolniej, aczkolwiek do końca posiłku pozostaje ona zawsze w ruchu, choć porusza ją już wtedy przede wszystkim ciekawość. Gdy na stole

pojawia się waza z zupą i arbuzy, wiadomo, że posiłek dobiega końca.

Kuchnia chińska zadowolić może najbardziej wybrednego smakosza. Obfitość jarzyn znanych i zupełnie nie znanych, owoce morza, mięso przyrządzane na wiele sposobów, makarony sporządzone nie wiadomo z czego, różnorodność przypraw, desery, których skład trudno odgadnąć. Wszystko to nader sympatycznie drażni kubki smakowe. Czasami można się jednakże naciąć. Leży sobie np. jajeczko na twardo. Wygląda swojsko – jak jajeczko. Po skosztowaniu okazuje się jednak, że ugotowano je z taką ilością soli, że nie sposób go przełknąć. Wyciągasz z garnka jakieś gotowane zielone liście, a po skosztowaniu okazuje się, że to szpinak z wody. Bierzesz z półmiska coś, co wygląda jak burak, tymczasem okazuje się, że to zabarwiony na czerwono słodkawy ziemniak. Bierzesz coś, co obiecuje być słodkie, tymczasem okazuje się mocno przyprawione pieprzem. Takie niespodzianki nikogo jednak nie zrażały. Codziennie od nowa nakładaliśmy sobie pełne talerze. Całe szczęście, że brak wprawy w posługiwaniu się chińskimi pałeczkami hamował nieco nasze tempo spożywania posiłków, w



NAJBARDZIEJ LUKSUSOWA CHIŃSKA HERBATA PO ZAPARZENIU MOŻE SIĘ ROZWINĄĆ W TAKI „KWIAT”

przeciwnym bowiem razie pochłanialibyśmy jeszcze większe góry jedzenia. I tak jednak podczas dwutygodniowego pobytu w Chinach prawie każdemu z nas przybyło kilka kilogramów wagi.

ZDARZENIA NIEZAPOMNIANE

Pojechaliśmy tam w pięć czy sześć osób. Mistrz nie powiedział nam, do kogo jedziemy. Tyle tylko wiedzieliśmy, że do jego znajomych. Na dalekich przedmieściach Pekinu, gdzie jeszcze kilka lat temu były pola uprawne, stoi osiedle kilkunastopiętrowych domów wykończonych w sposób siermiężny. Jakie rajske przytulisko dla rodziny można urządzić w takim bloku, zobaczyliśmy w mieszkaniu, gdzie mistrzyni Zhao Guimei mieszka z mężem, dorosłymi dziećmi i ich partnerami. Nic dziwnego, że zakątek jest rajski, wszak mistrzyni specjalizuje się w feng shui czyli w urządzaniu siedzib ludzkich tak, by panowała tam harmonia. Wystarczy wejść do pokoju, w którym przyjmuje się gości, a czuje się przyjazne fluidy. Króluje w tym pokoju domowy ołtarzyk, skąd spoglądają na mieszkańców Budda Siakiamuni, Awalokiteśwara – bho-disattwa współczucia i Mandziusri – bho-disattwa mądrości, którym przypatruje się z boku żółt z głową smoka – symbol długowieczności. Aby jednak harmonia domu była pełna, na balkonie ma swoje miejsce ołtarzyk taoistyczny, natomiast w górnym rogu ściany przeciwległej do ołtarza buddyjskiego umieszczona jest flaga państwowa.

Mistrzyni Zhao Guimei jest osobą niezwykłą. Gdy była dzieckiem, wydawało się, że jest po prostu niewydarzona. Nie interesowała jej w najmniejszym stopniu nauka szkolna. Wiedziała natomiast, kto na co choruje i czy jego choroba jest śmiertelna. Miała z tego powodu ogromne kłopoty, gdyż, jak to dziecko, szczerze mówiła, co widziała. Pewnego dnia spotkała starszego człowieka pracującego w lesie. Zatrzymawszy na nim wzrok ujrzała nagi szkielet. Powiedziała mu: „Długo nie pożyjesz”. Zdenerwował się i pobił ją, a w domu matka sprawiła jej lanie drugi raz. Ale zgodnie z jej przepowiednią za miesiąc staruszek umarł. Gdy była już nastolatką, Zhao Guimei stwierdziła, że nie ma sensu, by chodziła do szkoły, bo i tak się tam niczego nie nauczy. Znalazła pracę w sklepie. Gdy jednak przypatrywała się klientom, widziała który z nich jest chory i na co. Nie mówiła już ludziom tak szczerze jak kiedyś, co widzi, zajęła się jednak uzdrawianiem osiągając w tej dziedzinie rezultaty tak niewiarygodne, że wyleczeni pacjenci dziękowali jej tak jak dziękuje się wielkim buddyjskim kapłanom- ofiarowując jej białą jedwabną szarfę zwaną katak. Niebawem Zhao Guimei stwierdziła, że ma także niezaprzeczalne



. MISTRZYNI ZHAO GUIMEI ZAGLĄDA W PRZYSZŁOŚĆ NASZEJ HANI KWIATKOWSKIEJ

zdolności do przepowiadania przyszłości. Naszej Hani Kwiatkowskiej przepowiedziała, że za dwa lata będzie miała męża Niemca lub Chińczyka, który będzie ją bardzo kochał. Poczekamy...

Uprzejmość mistrzyni nie ograniczyła się do tego, że przyjęła nas w swoim domu, zajrzała w naszą przyszłość i obdarowała każdego z nas misterną chińską wycinanką oprawioną w szkło. Zaprosiła nas też na obiad do mandżurskiej restauracji. Do mandżurskiej dlatego, że sama wywodzi się z mandżurskiej rodziny. Mandżurowie są dumni z tego, kim są, ponieważ jeszcze niespełna sto lat temu byli w Chinach narodem panującym. Ostatnia dynastia cesarska Qing, która panowała w Państwie Środka od XVII do XX w., była właśnie dynastią mandżurską. Nic więc dziwnego, że mistrzyni na obiad dla swoich polskich gości wybrała właśnie mandżurską restaurację. Do opieki nad nami podczas tego obiadu zaangażowani byli wszyscy młodszy członkowie jej rodziny. Rzeczywiście, przydawała nam się ich pomoc. Posiłek bowiem miał przebieg zaskakujący. Posadzono nas przy okrągłym stole, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak wszystkie inne stoły, z którymi dotychczas mieliśmy do czynienia w

restauracjach. Dziwne było tylko to, że stał na masywnej kamiennej nodze. Jak się okazało, był to po prostu piec, wewnątrz którego buzował już ogień. Pośrodku stołu natomiast zamiast obrotowej szklanej tafli znajdował się...pokaźnych rozmiarów kocioł. Kucharz najpierw wlał do niego wielki gar gorącego wywaru ugotowanego najprawdopodobniej na jarzynach, a gdy dobrze się on już zagotował, wrzucił do niego wielką, surową, pokrojoną w masywne dzwonka rybę złowioną w rzece Ussuri płynącej na granicy Mandżurii i rosyjskiej Syberii. W miarę jak ryba się gotowała, kucharz dorzucał jeszcze do kotła duże pęki zieleniny. Gdy się to wszystko ugotowało, trzeba było nałożyć potrawę na talerze prosto z kotła, w którym się gotowała: nalać bulionu, nałożyć rybę i ugotowaną zieleninę, która ciągnie się długimi warkoczami. Tego nie bylibyśmy w stanie dokonać sami. A byłaby wielka szkoda nie skosztować tej zupy o niepowtarzalnym smaku. I tu właśnie przydała nam się pomoc młodszych członków rodziny mistrzyni, którzy dbali o to, aby nasze talerze ani przez chwilę nie pozostały puste. Jako osoba najstarsza w tym towarzystwie miałam nawet swoją

osobistą opiekunkę, która zajmowała się mną z rozczulającą uważnością. Nazwałam ją moją małą zieloną żabką, ponieważ nosiła zieloną bluzeczkę. Opieka gościnnej rodziny mistrzyni posunęła się tak daleko, że po skończonym obiedzie jej syn i zięć samochodami odwieźli nas na nieco oddalony przystanek autobusu, którym już powróciliśmy do śródmieścia.

Inne niezapomniane zdarzenie to nocne przedstawienie na Jeziorze Zachodnim w Hangzhou wyreżyserowane przez słynnego chińskiego mistrza sceny Zhang Yimou. Kto je zobaczył, na pewno będzie je pamiętał do końca życia. Wszelkie przedstawienia typu „Światło i dźwięk” mogą dać o nim tylko słabe wyobrażenie. Postaci w powłóczystych, białych szatach przemieszczające się posuwistym krokiem po powierzchni wody, pływające domy niepostrzeżenie wyłaniające się z mroku drzew, świetliste ptaki fruujące na tle nocnego nieba, kilkuset tancerzy z latarkami mistrzowsko wykonujących swoje ewolucje na tafli wodnej, masa różnokolorowego pyłu wodnego wydobyta nagle z powierzchni jeziora przez



LAS WIEŻOWCÓW MOŻE SUGEROWAĆ, ŻE JESTEŚMY W NOWYM JORKU

wylaniającą się, pełną światła konstrukcję, baśniowa muzyka, no i baśniowa fabuła: miłość, przeszkody, porwanie oblubienicy przez przybyłych na łodziach agresorów i wreszcie szczęśliwe spotkanie kochanków. Wrażenie jest tak głębokie, że po zakończonym spektaklu można tylko w milczeniu przeżywać to, czego się doświadczyło.

Zdarzeniem niezapomnianym było też niewątpliwie zetknięcie się z Szanghajem. Jest to miasto tyleż fascynujące co przerażające. Wszechobecny las drapaczy chmur sprawia, że możemy ulec złudzeniu, iż znajdujemy się w Nowym Jorku. Gdy po raz pierwszy oko moje padło na te wysokościowce, przypomniało mi się, co powiedział mój sześciolatek wówczas wnuk, gdy zawieziono go do paryskiej dzielnicy La Deffense – monumentalnego współczesnego założenia architektonicznego, którego szeroką centralną aleję obrzeżają olbrzymie czarne wieżowce. Zapytany, jak mu się to podoba, chłopczyk odpowiedział: „Ja mam lęk wysokości”. Tak właśnie czuje się człowiek w Szanghaju. Z drugiej jednak strony miasto fascynuje przybysza. Nigdzie wyraźniej niż tu nie widać, że w Chinach trwa właśnie boom gospodarczy, że w równej mierze jak kraj ten otwiera się na kontakty z zachodnią gospodarką, Zachód ofensywnie wkracza o Chin. Wszak najwyższe wieżowce Szanghaju to nic innego jak siedziby najrozmaitszych światowych korporacji. Właściwie cała dzielnica Pudong na wschodnim brzegu rzeki Huangpu, gdzie jeszcze kilkanaście lat temu gnieździła się jedynie tutejsza nędza i występek, powstała po to, by mogły tam powstać supernowoczesne siedziby światowych korporacji, które są obecnie jednym z głównych motorów miejscowego wzrostu gospodarczego sięgającego nieprawdopodobnej wysokości 9-15% rocznie. Zresztą nie po raz pierwszy Szanghaj zawdzięcza swój rozwój agresywnemu dążeniu zachodnich kompanii do ulokowania się na rynku chińskim. W latach trzydziestych XIX w. cesarze z dynastii Qing stanowczo ograniczali dostęp towarów zachodnich na rynek chiński. Kupcy europejscy działający w ramach Kompanii Wschodnioindyjskiej, którzy kupowali w Chinach dużą ilość jedwabiu, herbaty, ryżu i wyrobów rękodzielniczych zmuszeni byli płacić za nie żywą gotówką, nie mogąc sprzedawać swoich towarów. Chcąc poprawić swój bilans płatniczy, w drodze kontrabandy sprowadzali do Chin dużą ilość indyjskiego opium. W 1839r. władze Kantonu zarekwirowały i zniszczyły 20 000 skrzyń z opium należących do brytyjskiej faktorii. Wielka Brytania uznała to za powód do rozpoczęcia wojny zwanej opiumową. Wojska angielskie zajęły terytoria na wybrzeżu Morza Wschodniochińskiego. Traktaty podpisane po zakończeniu wojny w 1842r.

gwarantowały otwarcie szanghajskiego portu dla handlu międzynarodowego, a następnie gwarantowały Anglii, Francji, USA i Japonii na tym obszarze eksterytorialne koncesje. W ten sposób Szanghaj z małego portu rybackiego przekształcił się w jeden z największych międzynarodowych portów na świecie. I dziś także tędy wlewa się i Zachód, i nowoczesność: tunele komunikacyjne pod rzeką Huangpu łączące wschodnią i zachodnią część miasta, najwyższa w Azji wieża telewizyjna, nowoczesne budowle ze szkła i aluminium, wielopoziomowe skrzyżowania komunikacyjne, kamienne bulwary obrzeżające rzekę. Aż nieprawdopodobne wydaje się, że w tym samym mieście można znaleźć coś tak głęboko tkwiącego w dawnej tradycji chińskiej jak świątynia Jadeitowego Buddy czy utrzymane w znakomitym guście muzeum wielowiekowej chińskiej sztuki erotycznej.

UCZESTNICZY

Każdy z uczestników naszej wyprawy do Chin to godna uwagi indywidualność, jednakże kilkoro spośród nas to osoby szczególne. Hani Kwiatkowskiej i Tereni Pająk, ich wielotygodniowej bezinteresownej pracy organizacyjnej zawdzięczamy to, że w ogóle na tą wyprawę pojechaliśmy. Dr Jan Pokrywka i jego młodszy krewny dr Piotr Pokrywka – lekarze medycyny chińskiej na każde zawołanie nieśli pomoc każdemu, komu cokolwiek dolegało wykonując zabiegi akupunktury, nastawiając kręgosłupy. Dr Paweł Półtola, prezes Polskiego Stowarzyszenia Medycznego Qigong, wielki znawca medycyny chińskiej – chodząca życzliwość o łagodnym uśmiechu. Na szczęście nikt nie potrzebował jego pomocy, gdyż na nerwy nikt nie zapadł. Sama jednak obecność Pawła działała na nasze nerwy jak balsam. Kamil – nasz ofiarny tłumacz i „pasterz” zaganiający do stada zagubione owieczki. Ponieważ wszyscy przewodnicy mówią wyłącznie po angielsku, Kamil podjął się trudnej roli tłumacza na język polski. Codziennie przez wiele godzin wykonywał to wyczerpujące zajęcie ze swoim dyskretnym uśmiechem na ustach, nie okazując, że jest zmęczony czy zniecierpliwiony, gdy kilka osób na raz domaga się jego pośrednictwa w rozmowie z anglojęzycznym Chińczykiem. Grażynka czyli prof. Grażyna Nowak-Starz – dziekan Wydziału Nauki o Zdrowiu Uniwersytetu Świętokrzyskiego, ale właśnie Grażynka, a nie pani profesor. Pełna bezpośredniości, energii i dobrego humoru, z zapalem myszkująca po różnych kramikach w poszukiwaniu – jak to ona mówiła – „pizdrucików” czyli oryginalnych drobiazgów, które można komuś ofiarować, a jednocześnie poświęcająca wolne chwile w autokarze

na wspólne z Czesiem projektowanie przyszłego Kongresu Zdrowia i Długowieczności. Nasz prezydent Czesio czyli wiceprezydent Kielc Czesław Gruszewski. Nieprzypadkowo tak go nazywaliśmy. Był naszym Czesiem – bezpośrednim facetem, którego dowcipy rozśmieszały nas do łez, a jednocześnie kimś, kto w mgnieniu oka, zupełnie nie wysilając się potrafił nawiązać kontakty, które obiecują zaowocować trwalszą współpracą, potrafił wysunąć przyszłościowy projekt i z miejsca napiąć nici prowadzące do jego realizacji. Mistrzyni Zhao Guimei wyróżyla mu, że obecna jego funkcja to dopiero początek jego kariery. Oby! Warto było pojechać do Chin chociażby po to, by poznać tych ludzi.

NASZ MISTRZ

Był mało widoczny. Najwyraźniej starał się o to, by być mało widocznym. Ale to przecież on wynalazł dla nas najciekawsze miejsca, które powinniśmy zobaczyć, znalazł przewodników nie tylko kompetentnych, ale i pełnych osobistego wdzięku, wykorzystał swoje osobiste kontakty, byśmy mogli poznać nietuzinkowych ludzi, gotów był poświęcić swój przeznaczony na odpoczynek czas, by kupić dla nas to, czego sami nie potrafiliśmy znaleźć. Tak na co dzień mało się go jednak zauważało. Czym była dla nas jego obecność, przekonaliśmy się dopiero, gdy odlatywaliśmy do Polski, a on pozostał jeszcze w Chinach. Ogarnął nas niepokój, poczuliliśmy się jak dzieci nagle pozbawione opieki matki.



MOJA OSOBISTA OPIEKUNKA „MAŁA ZIELONA ŻABKA”